[horyzont życia]

Agata Tuszyńska: Listy Bezimiennej

1

Sama się skazała na nieistnienie. Miała w tym wieloletnią wprawę. W publikacjach na temat Brunona Schulza kryła się za jedną literą: J.

Józefina Szelińska była jedyną kobietą, której zaproponował małżeństwo. Jedyną, do której napisał ponad dwieście listów (wszystkie zaginęły). Jedyną, która próbowała z jego powodu odebrać sobie życie. Jedyną, której oficjalnie zadedykował swoją książkę, *Sanatorium pod Klepsydrą*. Jedyną wreszcie, która anonimowo z oddalenia w przestrzeni i czasie obserwowała pośmiertną sławę swojego mężczyzny.

Popełniła samobójstwo, tym razem skutecznie, mając osiemdziesiąt sześć lat, w lipcu 1991 roku. Odeszła niemal pół wieku po Schulzu. O tym, że była kiedyś jego narzeczoną, do końca nie pozwalała mówić.

A przecież nie spotkała przez resztę życia nikogo, kto zdołałby go zastąpić, zająć – podobne jemu – miejsce w jej sercu. Zapisywała w kolejnych życiorysach: „stan cywilny: panna, stan rodzinny: samotna".

Poznali się w Drohobyczu wiosną 1933 roku. Długo przyglądał się na ulicy wysokiej, postawnej brunetce. Po kilku tygodniach poprosił kolegę, by mu ją przedstawił. Chciał ją malować. Już przedtem używał tego pretekstu, by poznawać kobiety. „Któraż Madame Bovary odmówiłaby artyście?" – komentowała.

Miał czterdzieści jeden lat, w co trudno jej było uwierzyć, wyglądał na wiele młodszego, niemal jej równolatka (skończyła dwadzieścia siedem)… Niepozorny, szczupły, w szarym, jakby za obszernym ubraniu, nosił w sobie poezję i tajemnicę. Niewiele o nim wówczas wiedziała.

Córka przedwojennego adwokata, wykształcona na lwowskim uniwersytecie, z doktoratem z literatury, pracowała jako nauczycielka języka polskiego

w gimnazjum, podobnie jak on, rysownik i niedoszły malarz akademii wiedeńskiej, a wkrótce debiutant na polu literatury.

Podczas kolejnych spotkań coraz częściej odkładał pastele i wiódł z nią rozmowy, jakich nigdy przedtem z nikim nie prowadziła. Nazywała je seansami, w których recytowane przez niego wiersze Rilkego mieszały się z refleksjami o Tomaszu Mannie, Goi, Kafce lub Leśmianie, i zawsze sięgały do „głębi zjawisk". Dużo spacerowali wśród budzącej się wiosny. Wspominała po latach o „przedsmaku cudowności" i niepowtarzalnych przeżyciach owych miesięcy, które „tak rzadko się w życiu trafiają".

W każdym człowieku doszukiwał się cech zwierząt. Mówił, że Juna, jak ją nazywał, przypomina mu antylopę. Długonoga, gibka, wysportowana, okaz młodzieńczej urody i siły. Sam utożsamiał się z psem, choć wiernością nie grzeszył, ale od dawna ćwiczył oddanie i podległość.

„Byliśmy ze sobą w głębokiej przyjaźni" – pisała Szelińska po latach, z niechęcią dokonując „dziwnej ekshumacji" tamtego związku. „Złożył swój los w moje ręce – jego słowa – pełen zaufania, że go nie skrzywdzę, z poczuciem bezpieczeństwa i opieki, jak gdybym ja była tą stroną silniejszą! Mnie dawał sens życia, smak przebywania w trudnej atmosferze szczytów z człowiekiem tak na wskroś odmiennym od wszystkich ludzi, jakich spotkałam…"

O małżeństwie zaczęli mówić w 1935 roku.

Wychowała się w Janowie pod Lwowem. Dom rodziców stał nad jeziorem. Zostało kilka modrzewi i jesion, które ją pamiętają. Lubiła pływać i patrzeć na wodę. Chodzić po lesie i zbierać grzyby. W pobliskim Drohobyczu nie widziała zaczarowanego miejsca, które „zstąpiło w esencjonalność".

Świat żydowskiego miasteczka nie był jej światem, choć jej dziadkowie go tworzyli. Nie utożsamiała się z nimi. Już rodzice przyjęli chrzest. Traktowała je jako galicyjską dziurę, z której należy uciekać ku wolności. Nie rozumiała, dlaczego Schulz nie podzielał jej pragnienia. „Cudowność i zagadkowość anachronizmu – mówił o swoim miasteczku – rezerwat Czasu". Pełna zachwytu nad jego twórczością, tego nie rozumiała.

Dlaczego trwał jako nauczyciel, nie aspirował do czegoś więcej? Mimo sukcesu pierwszej książki w literackich salonach stolicy nie szukał tam dla siebie miejsca. Zagubiony w nieoswojonych przestrzeniach, unikał podobnych wyzwań. Dość się już błąkał w poszukiwaniu siebie.

Jako mężczyzna był nieśmiały, delikatny i cichy. „Uniżony" – jak mówiło wielu – w stosunku do kobiet. Potrzebował ich. Szukał „wrażliwych dusz, przed którymi nie trzeba się zamykać lub tłumaczyć na obcy język". I znajdował. Z wieloma prowadził ważną, także dla literackich dokonań, korespondencję. Stawały się jego spowiedniczkami, adresatkami „listów cudnych".

Młodsza od niego o czternaście lat Józefina gotowa była pełnić funkcje matki i opiekunki, przynajmniej na początku i wedle jej własnych słów. Może zabra-

kło mu w niej niezbędnego pierwiastka demonizmu? Wielbił kobiety bóstwa, wyniosłe i niedostępne. Poniżające go były tym bardziej pożądane.

Stale się zastanawiał, czy istnieje lekarstwo na jego „niezdolność miłości" i na samotność. „Czy można ją kiedykolwiek przełamać we dwoje?" A może stanowiła najważniejsze (jedyne?) źródło jego literackich inspiracji?

Zwierzał się przyjaciółce, Romanie Halpern: „Moja narzeczona stanowi mój udział w życiu, za jej pośrednictwem jestem człowiekiem, a nie tylko lemurem i koboldem. Ona mnie więcej kocha niż ja ją, ale ja jej więcej potrzebuję do życia. Ona mnie odkupiła swoją miłością, zatraconego już prawie i przepadłego na rzecz nieludzkich krain, jałowych Hadesów fantazji. Ona mnie przywróciła życiu i doczesności. To jest najbliższy mi człowiek na ziemi".

Przez chwilę skłonny był dzielić z nią codzienność. Podobno rozważał przenosiny do Warszawy. Ona podjęła już tam urzędniczą pracę w biurze (nudną i jałową, jak pisała), by zapewnić im utrzymanie. Zdobył się na nie lada gest: wystąpił z gminy żydowskiej, by ułatwić ceremonię ślubną. Ale katolicyzmu przyjąć nie potrafił i nie chciał. Podobnie jak nie był w stanie zmienić adresu. Nie mógł wyprowadzić się z rodzinnego miasta. Najlepiej czuł się pod tamtym niebem, w świecie własnej wyobraźni, w bezmiarze czasu niezagrożonego interwencją z zewnątrz.

Bez Drohobycza nie wyobrażał sobie twórczego spełnienia. Tam była jego gleba i najważniejsza z namiętności, której służył.

„Nie było w nim owego hiatus między człowiekiem a artystą" – wspominała Szelińska. „Był na wskroś poetą w sferze ludzkich spraw, naprawdę obcym i zabłąkanym w tym świecie, choć spojrzenie na sprawy miał jasne i trzeźwe. Inni poeci tak świetnie umieli pogodzić wszystkie rzeczywistości, swoją wewnętrzną i tę z zewnątrz. A on musiał szukać wyjścia w ucieczce".

Potrzebował oparcia i pociechy równie silnie jak samotności. Bliskości kobiety lub tylko/aż „wspólnika do przedsięwzięć odkrywczych". Struktury i całkowitej wolności, czasu nieobarczonego żadnym, najmniejszym nawet obowiązkiem, by móc oddać się temu jedynemu zajęciu, które dawało sens.

Z żadną ze swoich kobiet nie łączył go tak długi związek, niczyich innych rodziców nie prosił o rękę ich córki. Dla żadnej innej „nie był wszystkim". Czego nie starczyło? Co zawiodło? Niezależność, której potrzebował, musiała znaczyć rozdarcie każdej klatki, jakkolwiek w odruchu tęsknoty niezbędnej, nawet jedwabnymi nićmi szytej.

Potwierdził, iż los artysty musi się wytlić w samotności.

Czy warunek opuszczenia Drohobycza nie był zbyt brutalnym naruszeniem osobności Schulza? Dlaczego nie potrafiła zostać tam, gdzie czuł się przynależny i przypisany z wyższego, metafizycznego rozkazu?

Czy powstrzymywała go obawa przed zmianą, naruszeniem zewnętrznej rutyny? Nie zdecydował się wyjść poza znajomą przestrzeń gniazda, pokoju, domu, Drohobycza? Nie umiał opuścić „swoich", którzy ją drażnili „plemiennością".

Zgubił w końcu drogę do niej. A potem długo nie znajdował do siebie samego. Znany był z nawracającego syndromu zabłąkania.

2

Pierwszy list do Jerzego Ficowskiego, w przyszłości natchnionego biografa Schulza, napisała natychmiast po przeczytaniu jego ogłoszenia w „Przekroju" w czerwcu 1948 roku. Odezwała się w spazmatycznym odruchu nawiązania łączności z tym, któremu los zamordowanego twórcy nie był obojętny. Była mu wdzięczna, że podjął próbę szukania jego śladów, że zajął się jego rozproszoną spuścizną. Józefina Szelińska miała wtedy nieco ponad czterdzieści lat.

„Uspokojona, że pamięć świetnego człowieka, poety i malarza nie zatarła się mimo obcości jego twórczości wobec problematyki dzisiejszej literatury", poinformowała Ficowskiego, że jest w posiadaniu teki grafik Schulza i jednego sztychu bez kopii, kilku rysunków, jego autoportretów, i dwóch jej portretów pasteli…

Podsuwała tropy świadczące o tym, że znała go lepiej niż inni. Wspominała o ich wspólnej, bogatej korespondencji, która zaginęła, i o bliskich Schulzowi osobach, które nadal znała. Odmawiała pisania, jakby uważała je, podobnie jak Schulz, za czynność zbyt intymną, wstydliwą. Tłumaczyła się brakiem możliwości skupienia, a nade wszystko zrekonstruowania aury, którą Schulz wytwarzał. Zaproponowała spotkanie.

Czytając jej los z dzisiejszej perspektywy, mam wrażenie, że był to wielki akt odwagi z jej strony. Minęło lato, wydawała się zawiedziona brakiem wizyty. Zamilkła potem na długo.

Przedwojenna nauczycielka (w Jarosławiu, Drohobyczu i Stryju), podczas okupacji uczyła na tajnych kompletach w Warszawie. Po wyzwoleniu w Gdańsku, gdzie zamieszkała. Mam wrażenie, że chciała wyjechać jak najdalej od rodzinnych stron. Od 1952 roku zaangażowana była jako bibliotekarka w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku-Wrzeszczu. Niewiele wiemy o jej życiu przez te lata. Kompletowała biblioteczny księgozbiór, między innymi utwory Schulza i *Proces* Kafki, który przed wojną przetłumaczyła (autorstwo przekładu przypisywano Schulzowi, czego sama nigdy nie zdementowała). Jeździła na aukcje antykwaryczne, raz zmieniła adres, pracowała po osiem godzin dziennie. Trwała. Niedostępna dla świata. Bez przeszłości i bez wspomnień, bez mężczyzny i własnej rodziny. Samodzielna. Samotna? Zdyscyplinowana i wymagająca, wobec siebie i innych.

Nie wróciła nigdy w okolice „sklepów cynamonowych". Nie odwiedziła miejsc, w których wyrosła i spędziła młodość. Znalazły się po wojnie „na obszarze ZSRR". „Moja pamięć jest bez wczoraj" – powtarzała. Zamazała przeszłość, zatarła jej korzenie, unieważniła historię. Wydaje się, że nie umiała inaczej przystąpić do powojennej codzienności.

Myślę o niej: muza.

Chodziła wyprostowana, dużymi krokami, wysoko trzymała głowę. Kruczoczarne włosy stale zapinała w kok. Używała kwiatowych perfum. Nawet w bibliotecznym granatowym fartuchu wyglądała jak królowa, tak twierdzą wszystkie jej pracownice. Podkreślały jej władczy majestat. Owiana tajemnicą, nie dopuszczała do siebie blisko. Zasznurowana, elegancka w przedwojennym stylu. Może eks-muza. Muza osierocona na własne życzenie, owdowiała potem. W niewidzialnym płaszczu przeszłości.

Zawsze zapięta na ostatni guzik, także psychicznie. „Niechętna własnej pamięci", cenzurująca ją również wobec samej siebie. Oszczędna w słowach, nie wylewna.

Przeżyła wojnę, do której nie wracała nigdy. Nie pozwalała sobie wracać.

Żyła wśród książek bardziej niż wśród ludzi. Tylko w domu, za zamkniętymi drzwiami rozmawiała z dawną sobą. I z Brunonem, którego obrazy i rysunki na ścianach wypełniały jej niewielkie gdańskie mieszkanie. W styczniu 1937 zerwali ostatecznie. Kiedy opuszczała rodzinny Janów w 1940 roku, musiała wziąć je ze sobą. Portrety własne i jego szkice. I rysunki. Dlaczego zdecydowała się ratować obrazy, nie listy?

Listy Schulza do narzeczonej. Wysyłane na warszawski adres ekspresem, by szybciej trafiły do jej rąk. „Żarliwe" i „pełne oddania", mające ukoić bezbronność i złagodzić lęk. Było ich podobno około dwóch setek, może pięćset stron zapisanych jego okrągłym, sumiennym pismem. Czasem myślała, że pisał je „z potrzeby artystycznej" bardziej niż tęsknoty czy chęci podtrzymania kontaktu. Traktował jak „zaprawę", pewien „marginesowy rodzaj twórczości". Korespondowali ze sobą przez trzy lata, powierzali sobie siebie w nadziei, że przetrwają.

Wyjeżdżając, uciekając z domu w obliczu nadciągającej wojny, ukryła listy na strychu pod krokwią, całą paczkę zawiązaną kolorową wstążką (różowa była czy czerwona, nie pamiętała). Wysoko, za ukośną belką pod stropem.

Dlaczego nie chciała ich mieć przy sobie? Dlaczego je ukryła? Nie zniszczyła, lecz ukryła lub jedynie twierdzi, że tak zrobiła. Czego się obawiała? Co miałoby ją zdradzić? Zaadresowane koperty? Podpis nadawcy? Obco brzmiące imię, Bruno? Niemożliwe, by tak myślała. Czy już wiedziała wtedy, że chrzest nie zwolni jej od prześladowań? Miała tak mało aryjską twarz…

Zabrała całą tekę rysunków. I obrazy. Jak z nimi uciekać? Jak błąkać się w poszukiwaniu schronienia?

Okupację spędziła w Warszawie. Po ulicach chodziła w czarnej woalce. Żałoba po nim, po ich wspólnym życiu. Po rodzicach. Po domu? Po swoim narodzie? Ocalała.

O swoim pochodzeniu nie mówiła nigdy, co nie znaczy, że nie dotknęła jej antysemicka nagonka Marca '68. Rezygnację z funkcji dyrektora złożyła sama kilka tygodni po znaczącym zebraniu zespołu, podczas którego atakowano ją za niepopełnione winy. Wolała się usunąć, niż walczyć. Wniosek motywowała „przemęczeniem i wyczerpaniem nerwowym na kierowniczym stanowisku".

Do Jerzego Ficowskiego napisała ponownie szesnaście lat po pierwszym liście. Nie wiem, czy się w międzyczasie spotkali. Zapewne tak, gdyż koleżanki bibliotekarki opowiadały o wizytach poety z Warszawy i rozmowach z szefową, do których nie były dopuszczane. Musiał jej przedstawić swoje schulzowskie znaleziska, odzyskane w żmudnych kwerendach listy, poskładane wspomnienia, prosił o ich lekturę, o komentarze. Przygnębiały ją te powroty…

„Chodzę znowu czas jakiś owiana zupełnie już bezprzedmiotowym smutkiem, podobnym do tego, jaki towarzyszy nam na wędrówkach wśród grobów na cmentarzu, w zetknięciu się z dawno minionymi i dokonanymi żywotami, w których już nic nie można zmienić".

Skarżyła się na własną pamięć:

„Piszę wszędzie «zdaje się», zły byłby ze mnie świadek, gdyż faktycznie w procesie odtwarzania pewnych faktów z własnego nawet życia pamięć wykazuje niesłychaną zawodność i trzeba dobrze ją kontrolować, by nie zbaczała od rzeczywistości".

Pytał o wskazówki, jak ma w przyszłości traktować jej postać w publikacjach, które przygotowywał. Niezwykle taktowny i wrażliwy wobec jej uczuć, cierpliwie czytał w liście z kwietnia 1964 instrukcję obsługi – zasady unieważniania jej postaci: „Bardzo proszę o zasadę generalną – o zupełne wykropkowanie i pominięcie mego imienia i nazwiska poza inicjałami i o nierozszyfrowywanie go w żadnym komentarzu".

Pozostał wierny temu sekretowi aż do jej odejścia.

3

W kadrze starej fotografii jest o krok nad ziemią. Dziecko w białym, zdobionym koronką wdzianku i białych, sznurowanych trzewikach. Ma trzy lata, może nieco więcej, niewiele więcej, ciemne włosy z przedziałkiem po lewej stronie i odstające uszy. Ciemne, głęboko osadzone oczy. Patrzy w obiektyw onieśmielone i zdziwione. W prawej ręce trzyma różę, też białą. Podpisano: „Bruno Schulz, około 1895".

Zdjęcie figuruje jako ilustracja rozdziału biograficznego *Bruno, syn Jakuba* w pierwszej książce Jerzego Ficowskiego o Schulzu *Regiony wielkiej herezji*, wydanej w 1967 roku.

Zareagowała od razu, pisząc 2 sierpnia 1967 roku do autora:

„Szanowny Panie,

Jestem wstrząśnięta zbiegiem okoliczności, który jest jakby wynikiem współdziałania sił demonicznych z najprzedziwniejszą ironią i wręcz komizmem. Fotografia na stronie 19 jest moją fotografią.

Zafascynowany dzieciństwem, widząc ją u mnie, poprosił mię Schulz o tę fotografię z okresu, który nazywał prehistorią, jak wszystko co dotyczyło naszego życia przed naszym spotkaniem i co go wzruszało w sposób wyjątkowy,

BRUNO SYN JAKUBA

Dwunastego lipca 1892 roku w kupieckiej rodzinie Schulzów urodził się najmłodszy syn, trzecie z kolei i ostatnie dziecko, najsędziejsze z rodzeństwa. Dano mu imię Bruno — po dziadku ze strony matki, jak to bywało w zwyczaju wśród żydowskich rodzin.

Urodził się nocą, a dowiedziawszy się z czasem od matki o tym, że lipcowa ciemność powitała pierwsze chwile jego samodzielnego istnienia, włączył Noc Lipcową, jako ważny element, do topografii swej indywidualnej mitologii, którą później — jako pisarz — miał stworzyć, mitologii odrzucającej potoczne pozory związków między rzeczami, ale jednocześnie respektującej autentyczne fakty i miejsca biografii autora.

Rodzice Brunona — Jakub i Henrietta — mieszkali wraz z rodziną na pierwszym piętrze osiemnastowiecznej kamieniczki na drohobyckim

18

Bruno Schulz ok. r. 1895

Strona 18 i 19 pierwszego wydania *Regionów wielkiej herezji* Jerzego Ficowskiego.

Fotografowany egzemplarz nosi stempel Biblioteki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku, w której pracowała Józefina Szelińska

ta niewiarygodna tożsamość i nietożsamość osoby znanej w wieku młodym, a tak obcej w jej dzieciństwie.

Oczywiście ofiarowałam mu tę fotografię i dawno, dawno już o tym zapomniałam.

Dopiero ten traf i to odnalezienie siebie z przypisem: Bruno Schulz, ok. 1895.

Mam jeszcze inną fotografię z tego wczesnego dzieciństwa z bratem, co pozwoli ustalić nieomylność mego stwierdzenia.

Drogi Panie, jakimi drogami dotarł Pan do niej, w czyim ona jest posiadaniu, jakie były jej koleje, że w ogóle coś tak nikłego i nikomu niepotrzebnego przetrwało i dochowało się, gdy tyle cennych rzeczy Schulza zaginęło? Rozumie Pan moje zdumienie i interpretację losu rzeczy martwych. […]

Z ciekawością i smutkiem czekam wiadomości, którędy to, jakimi manowcami wędrowałam, zanim spotkałam się ze sobą przypisaną Schulzowi".

Nie ma przypadków. To znak ich wspólnego życia po życiu, na którego drogę weszła, podejmując wysiłek ożywienia „dawno zszarzałych cieni wspomnień". Żali się Ficowskiemu i zwierza – „a i coś więcej obudził Pan, co na razie jest tylko mgławicą i Bóg wie, jakie będą jej dalsze drogi"…

Właściwie dopiero publikacja książki, i to nie od razu, wywołała gwałtowny i gorzki monolog, którego nie powtórzyła już nigdy. Rok 1967 przyniósł rekordową liczbę listów, aż dziesięć. Piątego września napisała do Jerzego Ficowskiego najdłuższy, ośmiostronicowy list, w którym otwarcie zawierzyła mu sekret związku z Schulzem, ryzykując zwierzenia, jakich nie podjęła ani przedtem, ani potem. Po raz kolejny zastrzegła sobie dożywotnią anonimowość.

Jerzy Ficowski pisał w swojej książce o „niepoznanej demoniczności Schulza", przez wszystkich odczuwanej. Józefina Szelińska chwaliła ów rys jako najprawdziwszy w wizerunku Brunona.

Pisała trzydzieści lat po rozstaniu z nim:

„Ja bym rozciągnęła jeszcze to pojęcie demonizmu na całą sferę ludzkich doznań, które były mu obce. Miał w sobie coś z elfa, ariela i zarzucałam mu – o ile z tego w ogóle można zrobić zarzut – że nieznany mu był ten gorący, soczysty miąższ ludzkich namiętności i doznań. Obce mu było uczucie ojcostwa i jego potrzeba, obca mu była zazdrość o kobietę i pragnienie wyłączności; dopuszczał myśl podziału kobiety między kilku mężczyzn, z zabezpieczeniem w tym swego miejsca, obca mu była potrzeba własnego domu, własnej rodziny.

Gdy w czasie spacerów po lesie w Drohobyczu i po łąkach ja odczuwałam biologiczną więź z przyrodą i pełnię radości, jemu przyroda służyła jako temat do snucia wizji, jako tworzywo artystyczne. Musiał precyzować, ująć w słowa. Tak było w Drohobyczu i później w Zakopanem.

Ideałem jego był jakiś falanster duchów pokrewnych z bezwzględnym poczuciem zabezpieczenia, bez zagrożenia, o którym Pan tak trafnie i wnikliwie mówi. […] był nie tylko zabobonnym zaklęciem, lecz kwintesencją jego marzeń, jak w nikiforowskich prymitywach.

Był całkowicie i bez reszty zaprzedany swej twórczości. To był jedyny sens jego życia, bez koncesji i bez ustępstw. Czy w zestawieniu z życiem innych artystów nie był to pakt z demonem?".

W jakim stopniu każde tego rodzaju wyznanie jest zdradą?

Ten list pozwala wyrysować wewnętrzną mapę ich związku. Owszem, widzianą z perspektywy rozstania i zagłady, ale i światła wybaczenia oraz radości zaświadczania o prawdzie – większej, ważniejszej niż indywidualna. Odżegnywała się od roli eks-muzy na emeryturze. A jednocześnie poczuwała do tajemniczego związku z porzuconym, a stale obecnym, ważnym i bliskim – tym, który przed ćwierć wiekiem „znaczył dla niej wszystko".

Analizowała ich wzajemną splątaną zależność, szczególnie w końcowej fazie ich znajomości, jako niebezpieczną grę. Zatruwali się wzajemnie czarnymi myślami, wizjami niepowodzeń, znużeniem i brakiem radości. Stawali się sobie ciężarem, może za późno to zrozumiała.

Pisała o ich – wspólnych i każdego z osobna – stanach taediowitalnych: *taedium vitae* jak z wiersza Oscara Wilde'a – głębokie rozczarowanie, znużenie życiem, nuda, beznadzieja, rozpacz…

Zrozumiała w końcu, że nie będą dla siebie oparciem. Ich depresje się pogłębiały, chmury gęstniały nad ich coraz mniej realną przyszłością. Miała rację, że ich pragnienia i wola „zaopatrzone były strzałką w odmiennym kierunku".

Jest w tych stwierdzeniach gorycz zbyt późnego może odkrycia prawdy. Jest próba usprawiedliwienia własnego zaangażowania i nieostrożnego uprawiania nadziei. Jest wreszcie zimna analiza tajemnicy niepowodzenia ich związku, mimo iż Schulz zwierzał się przyjaciółce: „takim uczuciem i taką żarliwą miłością nie obdarzyła mnie jeszcze żadna kobieta i zapewne nie spotkam już w życiu drugi raz istoty tak mną wypełnionej".

Józefina… Nazywał ją Juną, rzadko, w chwilach szczególnego zniechęcenia degradował do zwyczajnej „Józi". Juna nie znała poświęceń, chciała jego, i to na swoich warunkach, może wbrew pierwszemu odruchowi wspaniałomyślności, lekkości i upojenia własnym uczuciem. Chciała uniknąć przewidywalnej, drobnomieszczańskiej codzienności, której widmo bezustannie ją straszyło. Pragnęła za wszelką cenę wyrwać się z kotła prowincji i rodzinno-sąsiedzkich uwikłań.

Sprzeczne bywały odruchy jej pamięci. Broniła się przed nią, a jednocześnie imponowała jej dociekliwa uwaga Ficowskiego, cierpliwe przypominanie, wiara w chęć pomocy w imię – no właśnie w imię czego? Solidarności z genialnym artystą czy z cieniem miłości, która lata temu dodała jej skrzydeł?

Listy do biografa płynęły niejako podskórnym nurtem jej życia, w codzienności wśród książek, w twierdzy książek, gdzie doświadczenie nie bolało tak jak w rzeczywistości.

Jest ich blisko osiemdziesiąt. Korespondencja trwała czterdzieści lat.

Pisała dużym, trudnym do rozszyfrowania pismem, najczęściej tłumacząc się, dlaczego nie może lub nie daje rady ożywiać wspomnień. Kilka razy tylko

– może pod wpływem impulsu, chwili, może cierpliwych pytań interlokutora – odważyła się na spowiedź, którą później brała sama w cudzysłów i podważała nieufnością wobec własnej pamięci.

Oganiała się od przeszłości, nie chciała jej w nowym życiu, które mozolnie zbudowała na bezpiecznej glebie milczenia. Nowy porządek eliminował, musiał eliminować, rany przeszłości, blizny nawet. Broniła się sama przed sobą.

Drugiej części korespondencji z Ficowskim nie sposób odnaleźć. Spadkobiercy Szelińskiej twierdzą, że została przez nią samą zniszczona. Trudno uwierzyć.

Była świadkiem trudnym, wewnętrznie rozdartym, niechętnym wspominaniu i gdzieś głęboko mu wiernym, z poczucia lojalności lub winy, nie wiem.

W 1984 powtarzała: „Moja pamięć jest bez wczoraj. Dlatego wszystko, co wywołuje zmartwychpowstanie przeszłości, jest dla mnie nieobojętną wędrówką, jakby po cmentarzu i takich smętnych uczuć doznaję, ile razy uchyla się ta zasłona nad przeszłością, nad wspomnieniami, w książkach czy w mym «pamiętam» z rozmów ze znajomymi".

Te listy są jak puls jej losu, podskórny elektrokardiogram jej wygnanej pamięci. Zapis przeszłości, której nie sposób prześledzić na powierzchni.

Nazywa siebie zabytkiem dawno minionej epoki. Pisze o własnym „zaczadzeniu przeszłością" i o bolesnej „erozji czasu". Swoją pamięć nazywa istnym kuchennym sitem.

Obserwowanie jej pulsujących kręgów obiecuje wciąż nowe wtajemniczenia[1].

---

1 Dziękuję Biecie Ficowskiej za pierwszą, najważniejszą inspirację. Dziękuję jej także za udostępnienie listów Józefiny Szelińskiej do Jerzego Ficowskiego, jak również części archiwum Jerzego Ficowskiego dotyczącej jego pracy nad biografią Brunona Schulza. Ewie Piskurewicz z BUW, aniołowi stróżowi tego zespołu, dziękuję za przewodnictwo w nieznajomym labiryncie i niezawodne wsparcie we wszelkich moich archiwalnych poszukiwaniach.

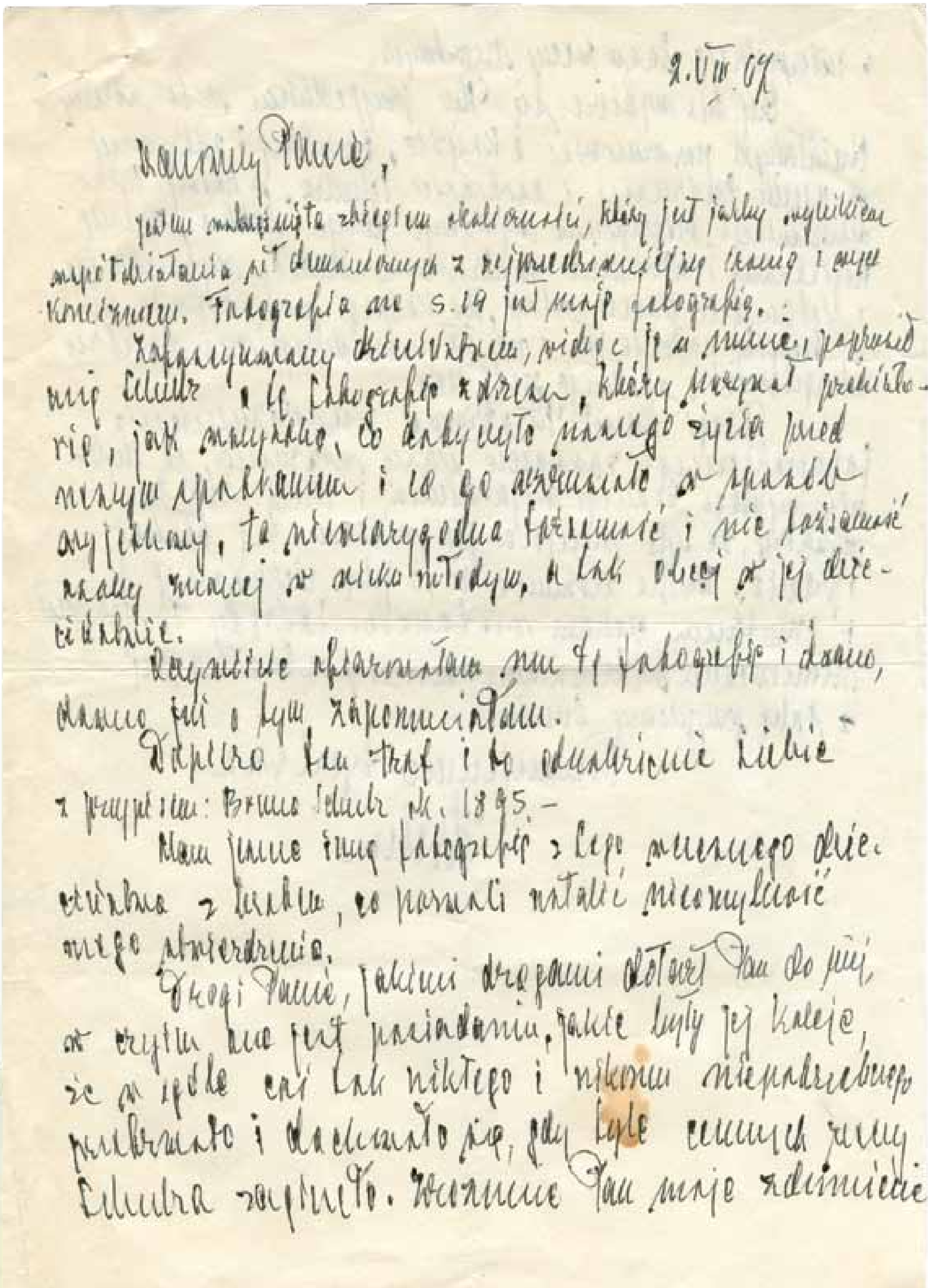

2.VIII.67

Szanowny Panie,

jestem zaskoczona zbiegiem okoliczności, który jest jakby wynikiem współdziałania sił domniemanych z najprzedziwniejszej krainy i mojej konieczności. Fotografia na s. 19 jest moją fotografią.

Zafascynowany ilustracją, widząc ją u mnie, poprosił mnie Schulz o tę fotografię z dzieciństwa, który wyrażał przedstawienie, jak wszystko, co dotyczyło mojego życia przed naszym spotkaniem i co go zdumiało w sposób osobliwy, ta niewiarygodna tożsamość i nie tożsamość naszej twarzy w wieku dziecięcym, a tak obcej w jej dzieciństwie.

Rzeczywiście ofiarowałam mu tę fotografię i dawno, dawno już o tym zapomniałam.

Dopiero ten traf i ta ilustracja tutaj z podpisem: Bruno Schulz ok. 1895.–

Mam jeszcze inną fotografię z tego samego dzieciństwa z kotkiem, co pozwoli ustalić niewątpliwość mego stwierdzenia.

Drogi Panie, jakimi drogami dotarł Pan do niej, w czyim ona jest posiadaniu, jakie były jej koleje, że w ogóle coś tak nikłego i nikomu niepotrzebnego przetrwało i dochowało się, gdy tyle cennych rzeczy Schulza zaginęło. Rozumie Pan moje zdumienie

List Józefiny Szelińskiej do Jerzego Ficowskiego
z 2 sierpnia 1967 roku

i interpretację Pana pracy zmarłych.

Czy nie uważa się Pan przypadkiem za te prawy?
Chciałabym porozmawiać o książce, świetnej i odkrywczej w ujęciu twórczości i zachowania Schulza, w której tylko dokumentacja biograficzna wymaga uwagi lekkie, [illegible] niejasności i nieważne nadkruszenia. Zanim wybieram się z lektury tej części [illegible], do którego przygotowuję się w drugiej połowie VIII i na IX, [illegible] mi [illegible] skupienie i zabiera mój czas.

Drogi Panie, [illegible] ta sprawa nieporozumienia fotograficznego zestawienia [illegible] [illegible], co chyba nie wymaga żadnego wyjaśnienia i więcej [illegible] Pan wyłącznie, że tylko niechcąca przyłączam się tej tylko sprawie. Ale rozumie Pan, z jaką ciekawością i smutkiem czekam wiadomości, które dały to i jakimi [illegible] [illegible], zanim zapoznałam się z pracą przypisaną Schulzowi.

Niezmiennie życzliwa

Helen